

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/polskie-wigilie/97710,Wolna-Polska-zepchnieta-pod-ziemie.html>



ARTYKUŁ

„Wolna Polska zepchnięta pod ziemię...”

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: ANDRZEJ SZNAJDER 21.12.2021

W grudniu 1981 roku wydawało się, że kopalnia „Piast” w Bieruniu będzie ostatnią, w której mógłby wybuchnąć strajk. A jednak... Zorganizowany tu spontanicznie pod ziemią protest trwał dwa tygodnie. Był najdłuższym strajkiem przeciwko stanowi wojennemu.

Kilkanaście miesięcy „karnawału Solidarności” w „Piaście” nie należało do spokojnych, ale wszystkie sytuacje konfliktowe udawało się w tym czasie skutecznie rozładowywać. Na mocy porozumień z sierpnia i września 1980 roku także tu zaczęły powstawać struktury NSZZ „Solidarność”. Po trzech miesiącach do nowego związku należała już większość załogi – 3950 osób z 7 tys.

Pokojowe współistnienie

W 1981 roku zakładowa Solidarność pięciokrotnie organizowała załogę do akcji protestacyjnych. Za każdym razem były to akcje o charakterze regionalnym lub ogólnopolskim. Konflikty w samej kopalni rozwiązywano wtedy na drodze dialogu, co później przyznawali zarówno dyrektor kopalni Czesław Gelner, jak i I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR Adam Grylewicz. Ten ostatni tak scharakteryzował swoje relacje z przewodniczącym kopalnianej Solidarności Wiesławem Zawadzkiem:

„Jakkolwiek [...] mieliśmy znaczne różnice w podejściu do wielu spraw, to jednak w wyniku jego postawy nasza kopalnia albo nie strajkowała, albo też strajk był znacznie skracany”.

Potwierdzeniem tego może być fakt, że w marcu powołano w kopalni komitet założycielski samorządu pracowniczego. W jego składzie znaleźli się przedstawiciele zarówno dyrekcji kopalni, PZPR, Związku Zawodowego Górników, jak i NSZZ „Solidarność”. Statut samorządu zatwierdzono na kilka tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego, w listopadzie 1981 roku.

W obronie kolegów

13 grudnia 1981 roku liderzy kopalnianej Solidarności, dowiedziawszy się o wprowadzeniu stanu wojennego, przyjechali do kopalni, by spotkać się z dyrektorem. Zamiast tego zostali zatrzymani i przesłuchani przez Służbę Bezpieczeństwa. Wiesław Zawadzki podpisał zobowiązanie, że będzie przestrzegał przepisów prawa stanu wojennego. Jego zastępca – Eugeniusz Szelański – odmówił i natychmiast został internowany. Jeszcze 14 grudnia przed południem niewiele jednak wskazywało na to, że w „Piaście” dojdzie do strajku. Zawadzki przyszedł normalnie do pracy i wraz z kolegami z Zarządu NSZZ „Solidarność” zdali majątek związkowy. Około trzynastej okazało się jednak, że trzysta osób kończących pierwszą zmianę nie chce wyjechać na powierzchnię z poziomu 650 metrów. Wtedy właśnie do oczekujących na wyjazd zwrócił się z apelem jeden z górników – Stanisław Trybuś. Mówił, że nie można tak po prostu zgodzić się na to, że aresztowano ich kolegów z

Solidarności, którzy dotąd stawali w ich obronie. „Zostało to tak błyskawicznie podchwyczone, że mnie zaskoczyło” – wspominał po latach Trybuś. Nie mniejsze znaczenie dla wybuchu górniczego gniewu miały informacje o zmilitaryzowaniu kopalni, co rozumiano jako wprowadzenie obowiązku pracy przez siedem dni w tygodniu i być może po dwanaście godzin. Interpretowano to po prostu jako zamach na prawa, które górnicy wywalczyli rok wcześniej w porozumieniach jastrzębskich.

13 grudnia 1981 roku liderzy kopalnianej Solidarności, dowiedziawszy się o wprowadzeniu stanu wojennego, przyjechali do kopalni, by spotkać się z dyrektorem. Zamiast tego zostali zatrzymani i przesłuchani przez Służbę Bezpieczeństwa.

Próby wygaszenia protestu podejmowali zarówno przedstawiciele dyrekcji, jak i nielegalnej już kopalnianej Solidarności. Dyrektor Gelner starał się uspokoić nastroje górników gromadzących się w cechowni, ale został wygwizdany. Delegacja załogi – składająca się z członków Solidarności: przewodniczącego Zawadzkiego, Zbigniewa Bogacza i Andrzeja Machalicy oraz przewodniczącego KZ PZPR Grylewicza – udała się do Komitetu Miejskiego PZPR w Tychach. Od komisarza wojskowego miasta otrzymali jedynie zapewnienie, że Szelągowski jest zdrowy i nic mu się nie stało, a kwestia jego uwolnienia zostanie rozpatrzona dopiero z chwilą, kiedy w kopalni zapanuje spokój. Odczytanie tych informacji górnikom w cechowni wzmogło tylko oburzenie załogi, która delegatów wyśmiała i obrzuciła wyzwiskami. Mimo to podjęli oni jeszcze jedną próbę: o dziewiątej wieczór na polecenie dyrektora zjechali na dół, by przekonać pozostającą tam część załogi do wyjazdu. Efekt był ten sam. Kilka godzin później ostatnią próbę podjął Jeremiasz Sitek – nadsztygar i członek KC PZPR. Zjechał na dół i przekonywał, że protest nie ma sensu, że trzeba się podporządkować stanowi wojennemu. W odpowiedzi usłyszał, że stan wojenny jest na górze, a tu jest inne państwo. W tej sytuacji Zawadzki, Bogacz i Machalica oraz towarzyszący im w tej misji Adam Urbańczyk i Andrzej Oczko postanowili pozostać na dole.

Zdyscyplinowany protest

Strajk, który ostatecznie wcześniej rano 15 grudnia stał się faktem, nie oznaczał jednak bezczynności – zarówno dla dyrekcji, jak i dla załogi. Władze szukały sposobu na jego wygaszenie. Górnicy – ci strajkujący na dole, jak i pozostający na powierzchni – oraz ich bliscy organizowali się, by bezpiecznie przetrwać jak najdłużej. To, że na dole pozostawało około 2 tys. ludzi, było budujące, ale też wymagało rozwagi i

determinacji.

Do oczekujących na wyjazd zwrócił się z apelem jeden z górników – Stanisław Trybuś. Mówił, że nie można tak po prostu zgodzić się na to, że aresztowano ich kolegów z Solidarności, którzy dotąd stawali w ich obronie. „Zostało to tak błyskawicznie podchwyczone, że mnie zaskoczyło” – wspominał po latach.

Jako zasadę przyjęto od razu, że udział w strajku jest dobrowolny. Oznaczało to, że każdy, kto chciał, mógł wyjechać na powierzchnię. Strajkujący górnicy przebywali na dole w różnych miejscach – w pobliżu szybu, na tzw. dworcu zbornym, w pompowni, na przodkach lub w bocznych, zamkniętych już chodnikach. Ważne, żeby było sucho i w miarę ciepło. Odległość między poszczególnymi grupami można było mierzyć w kilometrach. Powstał więc problem wzajemnej komunikacji. Rozwiązaniem były funkcjonujące na dole urządzenia głośnomówiące, które elektrycy połączyli szeregowo. Dzięki temu, kiedy ktoś mówił do jednego z nich, słyszany był w wielu miejscach naraz. Pozostały jednak do rozwiązania inne jeszcze kwestie: pilnowanie dyscypliny, rozdział żywności, przekaz informacji i podejmowanie decyzji. Wykorzystano tu istniejący na co dzień podział załogi na oddziały. Każdy oddział wybierał grupowego, który reprezentował swoją część załogi, przekazywał decyzje, dostarczał żywność i przydzielał zadania. Niezależnie od tego część strajkujących zajmowała się zabezpieczeniem kopalni. Trzeba było utrzymywać w ciągłym ruchu urządzenia odwadniające. Gdyby tego zaniechano, już po czterech godzinach wznowienie wydobywania byłoby niemożliwe. Konieczne było także odświeżanie ścian, czyli uruchamianie kombajnów, by zebrać odpowiedniej głębokości pas węgla i uniknąć tzw. zaciskania się przodka i zniszczenia maszyn. Normalnie takimi pracami na dole kierował dozór w liczbie ośmiu, dziesięciu górników na jedną zmianę. W warunkach strajku było ich zaledwie trzech, 24 godziny na dobę. Jeden z nich zeznał w czasie procesu sądowego:

„Nie trzeba było wiele mówić, wiele pilnować. Wystarczyło, że powiedziałem, żeby każdy pilnował swoich rejonów, i ludzie sami ustalali sobie dyżury. [...] Czuli się odpowiedzialni za robotę, za poziom wydobywczy, za kopalnię”.

Wspólna modlitwa i kabaret

Strajkujący na dole górnicy nie przetrwaliby doby, gdyby nie pomoc z zewnątrz. Już 15 grudnia rano dotarła pierwsza żywność – śniadania tych, którzy przyszli do pracy na poranną zmianę, ale nie mogli już zjechać na dół. Tego samego dnia, który był dniem wypłaty, w ciągu półtorej godziny pracownicy „Piasta” zebrali około 1,5 mln zł datków na potrzeby strajkujących (dla porównania: średnia pensja w śląskim przemyśle wynosiła wówczas ok. 10 tys. zł). W akcji pomocy uczestniczyło nawet trzysta rodzin z pobliskiego osiedla.

„Ludzie po blokach chodzili, zbierali pieniądze, pod sklepem stały zawsze dwie panie i facet, ale tutaj do kosza wrzucało się towar: ziemniaki, pieczywo, wędlinę. [...] A całą tę żywność gotowano zbiorowo, w kopalnianej stołówce. Zresztą każda z nas pomagała, jak mogła” – wspominała żona jednego z górników”.

Po kilku dniach dyrektor kopalni zabronił korzystania ze stołówki, próbowano więc gotować w domach. Niezależnie od tego przez bramę kopalni znoszono paczki z żywnością i ubraniami. Stamtąd odbierali je pracownicy kopalni, przenosili na nadszybie, wkładali do klatek i spuszczały na dół.

Nikt nie planował – ani nawet nie mógł przypuszczać – że protest potrwa czternaście dni. Nie byłoby to możliwe bez niezwyklej górniczej samodyscypliny. Niemal od początku strajku utrwalił się rytm dnia. Jego stałymi punktami były poranna toaleta i porządkowanie legowisk, stałe pory trzech posiłków dziennie i praca, która jednak nie wypełniała całego czasu. Dość szybko w tych specyficznych warunkach górnicy przełamali sztuczną nieśmiałość i regularnie każdego dnia wspólnie się modlili. Był też czas na rozrywkę – opowiadanie kawałów, a nawet swego rodzaju kabaret:

„Najważniejsze zadania partii na 1981 rok: utrzymać strefę bezmięsną między Odrą a Bugiem; inteligencję zrównać z robotnikami, robotnika z chłopem, a chłopca z ziemią; do godła państwowego dodać kangura, ponieważ ceny skaczą, a my chodzimy z pustymi torbami”.

Takimi tekstami górnicy starali się wzajemnie rozweselać (cytat za książką Jacka Ciszewskiego „Uparci z Piasta”). Dzięki wspomnianym urządzeniom głośnomówiącym kabaretu mogła słuchać większość strajkujących. Szybko przekazywano sobie także informacje z powierzchni, które w listach lub gazetach dołączonych do paczek docierały do strajkujących.

Telefon od żony, blokada żywności

Tymczasem na powierzchni, w gabinetach władz, nie ustawały wysiłki, by zmusić górników do zakończenia strajku. Pod uwagę brano właściwie wszystkie możliwe rozwiązania: od perswazji, przez zastraszanie – np. użyciem gazu obezwładniającego – po różne formy rozwiązań siłowych. Do działań perswazyjnych próbowano wykorzystać duchownych katolickich. Dwukrotnie pozwolono im zjechać na dół w przekonaniu, że namówią górników do wyjazdu. Pozwalano także żonom strajkujących górników na telefoniczny kontakt z przebywającymi pod ziemią mężami. Część kobiet odpowiednio wcześniej „inspirowano” – straszono, czym grozi kontynuowanie strajku, i namawiano, by wpłynęły na swoich mężów. Planowano nawet wysłanie żon bezpośrednio na dół. 23 grudnia wprowadzono całkowitą blokadę dostaw żywności. Nie od razu dało to skutek, ale w połączeniu z wcześniejszym uniemożliwieniem wymiany zużytych lamp stwarzało bardzo trudną sytuację. Przełomem była Wigilia Bożego Narodzenia – z pewnością najbardziej pamiętany dzień strajku. Nałożyły się na siebie wizyta pod ziemią bp. Janusza Zimniaka oraz informacje, że spacyfikowano Hutę „Katowice” i że zakończyli podziemny strajk górnicy bliźniaczej kopalni „Ziemowit”. Ci, którzy wytrwali do tego dnia (według różnych źródeł było to ok. 1300 osób), byli zdecydowani spędzić święta pod ziemią, ale warunki bytowe stawały się skrajnie trudne.

Jeremiasz Sitek – nadsztygar i członek KC PZPR – zjechał na dół i przekonywał, że protest nie ma sensu, że trzeba się podporządkować stanowi wojennemu. W odpowiedzi usłyszał, że stan wojenny jest na górze, a tu jest inne państwo.

Decyzję o zakończeniu strajku górnicy zaczęli rozważać 26 grudnia. Uzależniono ją początkowo od spełnienia przez władze następujących warunków: zapewnienia bezpieczeństwa i opieki lekarskiej wszystkim strajkującym oraz zagwarantowania dalszej pracy. Negocjacje z władzami zakończyły się 28 grudnia o 13.45 ogólnym zapewnieniem, że „nikomu nic nie będzie”. W tym czasie na dole wciąż pozostawało ponad tysiąc osób. Podjęcie decyzji nie przyszło łatwo. Mimo niemożliwie trudnych warunków kilkuset górników twardo obstawało przy kontynuowaniu strajku, nawet gdyby większość postanowiła wyjechać. Bogacz, Zawadzki i Machalica przekonywali, że przedłużenie protestu nie ma sensu, że jako załoga i tak zrobili więcej niż ktokolwiek w Polsce. Ostatecznie około osiemnastej zdecydowano o wyjeździe na powierzchnię.

Zemsta władz

Do rozprawy ze strajkującymi władze przystąpiły natychmiast. Najpierw zaczęło się polowanie na przywódców strajku. Jednego z nich, Wiesława Dudzińskiego, zatrzymano już o dwudziestej w autobusie, którym wracał do domu. Godzinę później w areszcie byli już Bogacz i Zawadzki oraz pięciu innych górników. Jako ostatni, 6 stycznia, aresztowany został Adam Urbańczyk. Bezskuteczne okazały się gorączkowe poszukiwania Stanisława Trybusia. W sumie zatrzymano osiemnaście osób, spośród których jedenaście internowano, a siedem postawiono w stan oskarżenia. Zarzucono im zorganizowanie strajku oraz kierowanie nim, zablokowanie szybów i rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji.

W czasie kolejnych rozpraw uczestnicy strajku w większości zmieniali swoje zeznania ze śledztwa i wiarygodność materiału zebranego przez prokuratorów okazała się bardzo wątpliwa. Świadkowie zaprzeczyli, jakoby oskarżeni organizowali strajk i tworzyli komitet strajkowy. Zgodnie stwierdzali, że udział w strajku był dobrowolny i każdy miał swobodę wyjazdu na powierzchnię. Ratując się przed kompromitacją, prokuratorzy złożyli wniosek o zwrot sprawy do prokuratury w celu uzupełnienia dowodów. Sprawa wróciła na wokandę 19 kwietnia. Kolejne rozprawy trwały do 12 maja. Po raz kolejny okazało się, że dowody obciążające oskarżonych są co najmniej wątpliwe. Mimo to prokurator zażądał kar od dziesięciu do piętnastu lat pozbawienia wolności. Ale wyrok ogłoszony 12 maja wbił w osłupienie wszystkich obecnych na sali rozpraw:

Dyscyplinarnie zwolniono około tysiąca górników. Większość z nich przyjęto potem ponownie, ale na gorszych warunkach płacowych, pozbawiając „trzynastek” i „czternastek” oraz wielu innych branżowych przywilejów.

„W pewnym momencie sąd orzeka: z tego i tego artykułu umarza sprawę, z tego i tego uniewinnia nas. I ja już g... wiem, co się dalej działo, bo byłem już gdzieś z ptaszkami” – wspominał potem Zbigniew Bogacz.

Publiczność obecna na sali skwitowała werdykt powstaniem z miejsc i odśpiewaniem hymnu. Zgodnie z postanowieniem sądu oskarżeni jeszcze tego samego dnia zostali zwolnieni z aresztu. *Happy endu* jednak nie było: w ciągu następnego dnia cała siódemka została ponownie zatrzymana przez SB i internowana na kolejne

miesiące.

„Zapłatę” za strajk otrzymali także szeregowi uczestnicy protestu w „Piaście”. Dyscyplinarnie zwolniono około tysiąca górników. Większość z nich przyjęto potem ponownie, ale na gorszych warunkach płacowych, pozbawiając „trzynastek” i „czternastek” oraz wielu innych branżowych przywilejów.

W tle opisywanych tu wydarzeń rozgrywał się dramat katowickiej kopalni „Wujek” i innych miejsc, w których opór przeciwko stanowi wojennemu postanowiono złamać siłą. Abstrahując od oczywistego faktu, że stan wojenny był bezprawiem, historia strajku w „Piaście” pokazuje, że rozlewu krwi można było uniknąć. Nieżyjący już Wiesław Zawadzki za największy „sukces” tego strajku uznał, że w kopalni nie trzeba było stawiać krzyża, który upamiętniałby ofiary śmiertelne.

Tekst pochodzi z numeru 9/2012 miesięcznika „Pamięć.pl”

COFNIJ SIĘ